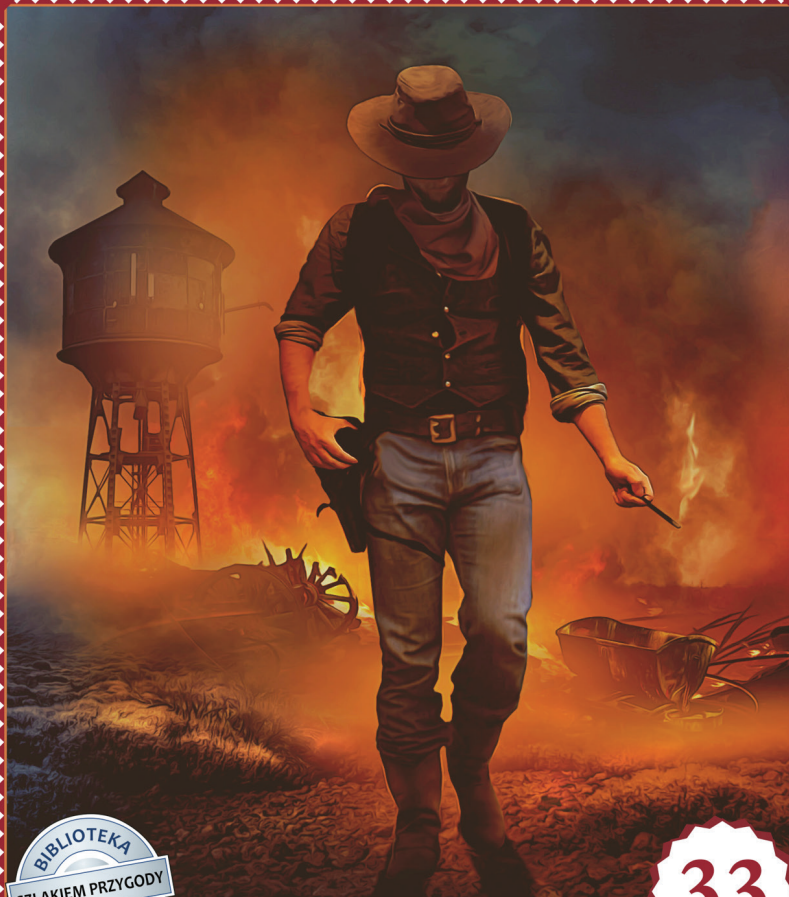




Charles Alden Seltzer

„FIREBRAND” TREVISION

Trzecia część cyklu „Opowieści z Dry Bottom”



33

ISBN 978-83-66268-62-3

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Charles Alden Seltzer

„FIREBRAND” TREVISION



Charles Alden Seltzer (15 sierpnia 1875 – 9 lutego 1942) – amerykański pisarz, płodny twórca westernów. Stworzył kilkanaście scenariuszy filmowych i napisał wiele opowiadań, głównie publikowanych w „Argosy” (a także m.in. w „Adventure”, „Western Story Magazine” i amerykańskiej edycji „Pearson’s Magazine”).

Urodził się w Janesville w Wisconsin. Zanim stał się odnoszącym sukcesy pisarzem, był ulicznym sprzedawcą gazet, telegrafistą, malarzem, stolarzem, inspektorem budowlanym, redaktorem małej gazety i rzeczoznawcą. Ponieważ wytrwale dążył do tego, by osiągnąć pisarski sukces, wraz z rodziną żył w biedzie – napisał około dwustu tekstów, zanim któryś z nich został przyjęty, a w tym czasie żona przynosiła mu od rzeźnika papier pakowy, żeby na nim pisał.

Westerny opierał na doświadczeniu wyniesionym ze swojego pięcioletniego pobytu w Nowym Meksyku. Pod koniec życia (w latach 1930-35) został wybrany burmistrzem North Olmsted w Ohio. Jest tam wspominany z dużym szacunkiem i respektem – założył m.in. pierwszą straż pożarną, stworzył plany pierwszej linii autobusów miejskich i dla dobra mieszkańców walczył z potężnymi firmami (m.in. energetycznymi).

Po uzyskaniu uznania jako pisarz, jego historie dość szybko trafiły do Hollywood, gdzie stały się kanwami wielu filmów wczesnego okresu kina: najpierw niemych, a później udźwiękowionych.

Zadebiutował w 1900 roku powieścią *The Council of Three*, a jego ostatni wydany tekst, już pośmiertnie, to *So long, sucker* z 1943 roku. Napisał w sumie trzydzieści dziewięć książek, z których dwadzieścia trzy były publikowane w odcinkach w „Argosy”. Do jego najśłynniejszych i zekranizowanych powieści należą *The Range Boss* (1916, ekranizacja 1917), *The Boss of the Lazy Y* (1915, 1917) oraz *The Trail to Yesterday* (obie w 1918). Poza tym dużą popularnością cieszyła się trylogia *Opowieści z Dry Bottom (Tales of Dry Bottom)*, składająca się z następujących powieści: *The Two-Gun Man*, *The Coming of the Law* oraz „*Firebrand*” *Trevison*.

Charles Alden Seltzer



„FIREBRAND” TREVISION

Przełożyła i przypisami opatrzyła Joanna Hacking

**Osiemdziesiąta druga publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Trzydziesty trzeci tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
„Firebrand” Trevison

© Copyright for the Polish translation by Joanna Hacking, 2021

14 kolorowych kart tablicowych: Dariusz Kocurek

© Copyright for the cover and inside illustrations
by Dariusz Kocurek, 2021

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Kinga Ochojska

Korekta: Andrzej Zydorczak

Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I


© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2021

ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-66268-62-3

Rozdział I

Jeździec na karym koniu

zlak prowadzący z Diamond K zmaterializował się u podnóża niewielkiego wzniesienia gęsto porośniętego chuderlawymi dębami i jodłami, aby następnie pobiec prosto i niemalże jednostajnie (z wyjątkiem głębokiej rozpadliny w miejscu, gdzie robotnicy kolei i łopata parowa¹ wżerali się w wysokie na sto stóp² wzgórze) do Manti³. Jeszcze miesiąc temu nie było Manti, a sześć miesięcy wcześniej nie było kolei. Kolej i miasto podążały śladem brygady mężczyzn odzianych w ubrania koloru khaki, którzy poczynili już dość znaczący postęp w tym kraju, pozostawiając za sobą szlak drewnianych palików i stosów kamieni. Wcześniej przemknął tędy agent spółki kolejowej, układając się i tym samym zapewniając pozwolenie na budowę. Rezultatem wysiłków owych mężczyzn było ciemne rozcięcie na spalonej słońcem powierzchni równiny i dwie stalowe linie – położone tak precyzyjnie, jak tylko doświadczone oko i teodolit⁴ mogły tego dokonać – i Manti.

Nie można było przeoczyć Manti, albowiem miasto ze swym widokiem samo narzucało się z miejsca, gdzie Brand⁵ Trevison galopował na swym wielkim, karym⁶ wierzchowcu, zwanym Czarnym⁷, szlakiem z Diamond K. Manti zdominowało sceneryę, nie dlatego, że było duże i okazałe, ale dlatego, że było tu coś nowego. Budynki

¹ *Łopata parowa* – koparka napędzana parą.

² *Stopa* (ang. foot) – jednostka długości stosowana w krajach anglosaskich, równa się 30,48 centymetrów.

³ *Manti* – miasto w stanie Utah, w USA.

⁴ *Teodolit* (gr.) – instrument geodezyjny przeznaczony do pomiarów w terenie kątów poziomych i pionowych.

⁵ *Brand* (ang.) – żagiew, pochodnia, piętno, marka, znak firmowy.

⁶ *Kara maść* – czarne ubarwienie sierści konia (grzywa i ogon także czarne).

⁷ *Czarny* – w oryginale: Nigger – Murzyn, czarnuch (obraźliwe).

tam były rozproszone – nie było tam potrzeby tłoku, lecz z pewnej odległości – na przykład z miejsca, gdzie znajdował się Trevison, czyli oddalonego o jakieś trzy mile¹ od miasta – Manti wydawało się niepozorne, jak zbudowane z klocków, w porównaniu z tym wielkim światem, na którego łonie leżało. Na tym tle Manti prezentowało się marnie, wręcz śmiesznie. Trevison był jednak przekonany, że pojawienie się kolei żelaznej rozpocznie nową erę, a owe dwie, cieniutkie jak nić stalowe linie, były jak macki stworzonego przez człowieka potwora, który z jednej strony pochwycił Wschód – biznes wyciągający dłoń po coraz to nowsze obszary – a z drugiej Manti, niepozorne i komiczne, jakby się mogło wydawać, a tak naprawdę stanowiące placówkę dysponującą nieograniczonymi zasobami. Manti powstało, aby przetrwać.

Biznes bydlęcy kwitł, Trevison dobrze o tym wiedział. Spółka kolei żelaznej wybudowała zagrody w Manti i Trevison wiedział również, że będą one potrzebne przez kilka następnych lat. Był w stanie także wyobrazić sobie dzień, kiedy zostaną zastąpione budynkami i fabryką. Interesy zataczały coraz szersze kręgi i było musiało usunąć się im z drogi. Pojawiło się już w okolicy kilku osadników², którzy pobudowali płoty wokół swych działek. Jeden z nich, gdy Trevison natknął się na niego kilka dni wcześniej, bezczelnie zapytał, dlaczego nie ogrodził terenu Diamond K. Ogrodzenie na pięciu tysiącach akrów³! Nigdy nie miało to miejsca w tej części kraju. Trevison pozwolił sobie na chłodny uśmiech, a odpowiedź na zadane pytanie zachował dla siebie. Incydent ten nie miał znaczenia, był jednak zapowiedzią dnia, gdy kilkanaście podobnych dociekliwych pytań może doprowadzić do tego, że postawienie płotu stanie się koniecznością.

¹ *Mila* (ang. mile) – jednostka długości stosowana w krajach anglosaskich, równa 1609 metrów.

² *Osadnik* (ang. homesteader) – osoba żyjąca i uprawiająca ziemię na gruntach podarowanych przez rząd; Homestead Act – ustawa o osadnictwie, uchwalona 1862 roku w USA; przyznawała każdemu obywatelowi po ukończeniu 21 roku życia prawo do uzyskania z ziem publicznych na niezamieszkałych zachodnich obszarach USA działki o powierzchni 160 akrów, za niewielką opłatą.

³ *Akr* (ang. acre) – jednostka powierzchni gruntów używana w krajach anglosaskich równa 4046,856 m².



Pięć minut później zatrzymał wierzchowca u szczytu
głębokiego rozkopu kolei żelaznej i wyjrzał krytycznie za krawędź.

Zaczynał go już drażnić tłok – obecność osadników go irytowała. Zmarszczył brwi. Jeszcze rok temu wyprzedalby wszystko – bydło, ziemię i budynki – po cenie rynkowej. Teraz nawet nie znał ceny rynkowej swojej ziemi. Teraz...

Spiął boki konia, wyprostował się w siodle i uśmiechnął się.

– Teraz nie jest na sprzedaż, prawda, Czarny?

Pięć minut później zatrzymał wierzchowca u szczytu głębokiego rozkopu kolei żelaznej i wyjrzał krytycznie za krawędź. Pięćdziesięciu robotników – pod kierownictwem gigantycznej postaci w brudnych, niebieskich *overalls*¹, w wysokich butach, wełnianej koszuli i filcowym kapeluszu z szerokim rondem, z twarzą niezaprzeczalnie irlandzką – uwijało się jak w ukropie, aby dotrzymać kroku olbrzymiej łopacie parowej, której żelazne szczęki wżerały się w ziemię, systematycznie i miarowo, co musiało zniechęcać jej ludzkich rywali. Ciąg wagonów-platform², prawie załadowanych do pełna, stał na torach rozkopu. Dołączona była do nich niewielka lokomotywa, która buchnęła parą z zaworu bezpieczeństwa, a maszynista i palacz wychylali się z okna kabiny, rozglądając się leniwie dookoła.

Patrick Carson, osobowość i szef budowy – poczciwy, dobroduszny, żwawy, spostrzegawczy – opierał się o głaz leżący z boku torów i gawędził sobie z maszynistą, gdy Trevison pojawił się na szczycie rozkopu. Podniósł wzrok, oczy mu zajaśniały.

– A oto i Trevison, Murph – zwrócił się do maszynisty. – O rany, cóż to za widok, no nie?

Bez wątpienia Trevison prezentował się imponująco. Koń i jeździec rysowali się na tle nieba, a w jasnym świetle każdy mięsień, każda cecha męczyzny i bestii przedstawiała się wyraźnie i wydatnie. Wielki, kary koń był potężnym zwierzęciem, roslym i smukłym, a jego prędkość i odwagę dało się zauważyć w jego profilu, chrapach i oczach. Trwał w bezruchu z uniesionym łbem i nastawionymi uszami, jak

¹ *Overalls* (ang.) – ubranie składające się ze spodni z klapą z przodu na klatce piersiowej, podtrzymywanych przez ramiączka na ramionach, wykonane z mocnego materiału i noszone zwłaszcza jako odzież codzienna lub robocza.

² *Wagon-platforma* (ang. flat-car) – wagon kolejowy bez dachu lub boków.

bohaterski posąg. Zdawało się, że jego jeździec do niego pasował. Wysoki, szczupły w pasie, rozłożysty w ramionach, wyprostowany, siedział swobodnie w siodle przyglądając się całej scenie z góry, nieświadom podziwu, jaki wzbudził. Poetyckie fantazje zagrały lekko Carsonowi w duszy, a on dał się im ponieść.

– Spójrz tylko na niego, Murph, na ten wielki kapelusz, na skórzaną spodnie, ostrogi i na całą resztę! Istnieje tutaj prawdziwy kontrast, gdybyś tylko go dostrzegł. Cywilizacja reprezentowana przez tę kolej żelazną, nie pasuje tutaj. To jakby oglądało się książkę z obrazkami! Czyż on nie jest wspaniały?

– Nigdy nie widziałem go z bliska – rzekł Murphy, a ton jego głosu nie podzielał entuzjazmu Carsona. – Zawsze wyglądał mi na faceta, który stroi się jak ktoś, kto chce się popisać.

– Gdy pierwszy raz ujrzałem jednego z tych kowbojów, pomyślałem to samo – rzekł Carson. – To było w innej części budowy. Widziałem tak wielu z nich podobnie ubranych, że zacząłem zadawać im pytania. Właściwie to jest cholernie użyteczny ubiór, kolego. Ten wielki filcowy kapelusz dobrze chroni głowę przed słońcem, a ta ekstrawagancka szmatka pod szyją osłania od piasku i promieni słonecznych. Skórzane spodnie zabezpieczają nogi przed zadrapaniami przez ciernie, opuncje¹ i inne chaszczce, przez które przyjdzie mu jechać. Wysoki obcas ma za zadanie zapobiec ześlizgnięciu się stopy ze strzemion². Dziecko ci może powiedzieć, dlaczego ma przy sobie małą broń i dlaczego nosi ją tak nisko na swym biodrze. Nigdy nie widziałeś go z bliska, co, Murph? Zawołam go tu do nas, żebyś mógł dobrze się mu przyjrzeć.

Odsunął się od głazu i zamachał do Trevisona, wołając:

– Zjedź tu do nas, chłopcze!

– Odjadę, zanim on tu dotrze – rzekł Murph, widząc, że ostatni wagon jest już prawie pełen.

¹ *Opuncja (Opuntia)* – rodzaj roślin (sukulentów) z rodziny kaktusowatych (*Cactaceae*), około 150 gatunków występuje w Ameryce Północnej i Południowej; kwiaty duże, żółte, pomarańczowe lub czerwone.

² *Strzemiona* – metalowy element siodła do jazdy konnej, stanowiący oparcie stopy jeźdźca, zawieszony na rzemiennym pasie na terlicy siodła, symetrycznie po jego obu stronach.

Carson zachichotał.

– Uwaga – ostrzegł. – Zjeżdża.

Bok rozkopu był stromy, a miękki piach i glina nie stanowiły bezpiecznego oparcia dla kopyt końskich, ale na znak Trevisona Czarny się nie zawahał. Przykucnąwszy na krawędzi – jak wielka pantera¹ – wysunął przednie kończyny do przodu, aż kopyta zatopiły się głęboko w bok rozpadliny. Wtedy łagodnym ruchem pociągnął za sobą tylne nogi i w tej samej chwili ostrożnie zaczął zsuwać się w dół. Jego jeździec odchylił się daleko w tył w siodle, lejce trzymał luźno w dłoniach.

Wydawało się to takie proste i łatwe. Postawa Trevisona wskazywała na to, że pokładał całkowitą wiarę w zwierzęciu i w swych jeździeckich umiejętnościach. Robotnicy jednak przestali pracować i przyglądali się, zbici w grupkę i gestykujący. Krztusząca się łopata parowa ucichła z westchnieniem, gdy maszynista wyłączył silnik i stanął jak wryty, z szeroko rozdziawionymi ustami. Palacz wychylał się mocno przez okienko kabiny niedużej lokomotywy. Murphy wymamrotał coś ze zdumienia, a Carson zarechotał z podziwu, bo zejście było wysokie na sto stóp, a w grupie robotników kolei żelaznej było niewielu, którzy zaryzykowałiby pokonanie ściany nawet na piechotę.

Czarny nabierał rozpędu wraz z odległością. Pokonał już jedną trzecią zbocza, gdy nagle napotkał na luźny grunt, który przesunął się pod jego ciężarem, co spowodowało, że tylne kończyny zwierzęcia uciekły w bok, wytrącając go z równowagi. Jeździec momentalnie odchylił się całym sobą w stronę ściany rozpadliny, przekręcając się w siodle, i po prostu obrócił Czarnego. Zwierzę wdrapywało się jak kot, zatrzymało się, spięło, spoglądając śmiało na wierzchołek ściany, podczas gdy przemieszczająca się ziemia, a wraz z nią otoczaki² i drobne kamienie osuwały się z grzechotem za nim. Wtem, ponaglo-

¹ *Pantera* (lampart, leopard, *Panthera pardus*) – ssak drapieżny z rodziny kotowatych; występuje w południowej Azji, a także w północno-wschodnim Egipcie, Jemenie i Omanie) oraz w Afryce; dł. ciała 0,9-1,9 m, ogona 0,6-1,1 m, masa ciała 28-60 kg u samic i 37-90 kg u samców; umaszczenie rudawo-żółte w czarne nieregularne plamy; poluje głównie na kopytne.

² *Otoczak* – okruch skalny (o średnicy powyżej 2 mm) wygładzony i zaokrąglony podczas transportu, np. przez płynącą wodę.

ny łagodnie dotknięciem i głosem Trevisona, wierzchowiec ponownie ruszył i stawiał czoła zboczcu.

– Nie zjechałbym tu koniem dla cholernej żelaznej kolei! – oświadczył Murphy.

– To prawda, ty nie dałbyś rady. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu Carson.

– Na takim koniu to człowiek mógłby wszędzie dojechać! – wtrącił zachwycony palacz.

– Ty byś się zabił na tym osuwisku i świat miałby o jednego ładowacza węgla mniej! – rzekł Carson. – Popatrz tylko na niego!

Czarny schodził w dół. Jego przednie kończyny były szeroko rozstawione, tylne ślizgały się po piachu. Dwukrotnie, gdy jego przednie kopyta natrafiły na jakąś drobną przeszkodę, tylne nogi unosiły się i stał, balansując na przednich kończynach. Za każdym razem Trevison zapobiegał zapowiadającej się katastrofie, odchylając się mocno do tyłu w siodle i silnie poklepując czarnego po bokach.

– Jak jeździec cyrkowy! – zawołał radośnie Carson. – Nie widziałem drugiego tak opanowanego faceta jak on! Prawdziwy z niego chojtrak!

Zjazd był widowiskowy, ale było oczywiste, że Trevisona mało obchodziło wrażenie, jakie wywarł na widowni, bo gdy tylko dotknął równego podłoża i podjechał do Carsona oraz pozostałych, ani na jego twarzy, ani w jego zachowaniu nie było śladu świadomości tego, co właśnie zaszło. Uśmiechnął się jedynie lekko, gdy do jego uszu dotarło wiwatowanie robotników. Następnie zatrzymał wierzchowca obok niedużej lokomotywy, gdzie Carson przedstawił go maszyniście i palaczowi.

Przyglądając się Trevisonowi z bliska, Murphy zmuszony był do określenia go mianem „prawdziwego mężczyzny” i pożałował swych krytycznych uwag sprzed kilku minut. W Trevisonie nie było niczego na pokaz. Jego zjazd po ścianie rozpadliny nie miał na celu zaimponowania komukolwiek. Wyraz brawurowej beztronski w pozornie spokojnych oczach, które patrzyły wprost na niego, przekonał maszynistę, że człowiek ten reagował jedynie na wyzwania. Było coś

takiego w wyglądzie Trevisona, co sugerowało całkowite lekceważenie strachu. Maszynista widział już raz coś takiego w twarzy swego towarzysza po fachu, gdy ten jechał ryczącym potworem w dół, po nachyleniu terenu, z zatrważającą prędkością, prosto w ociekającą deszczem ścianę ciemności, z której mógł w każdej chwili wytoczyć się z hukiem taki sam potwór, ale jadący w przeciwnym kierunku. Nastąpiła zmiana w rozkazach i pociąg ścigał się z czasem, aby dotrzeć do zwrotnicy¹. Kilka razy podczas jazdy Murphy spojrzął maszyniście w twarz. Wygląd tych oczu do tej pory go prześladował – odbijało się w nich wyzwanie rzucone śmierci i pogarda dla konsekwencji. Spojrzenie Trevisona przypominało mu właśnie to, jednak w jego oczach było coś jeszcze – chłodna, wyważona ironia. Maszynista ze wspomnień Murphy’ego, nieustraszony, stawiałby czoła śmierci. Trevison zrobiłby to samo, tylko dodatkowo by ją wykpił. Murphy przyglądał mu się długo i z podziwem, zauważając rozłożystą klatkę piersiową, potężne mięśnie, ciemnobłękitny połysk jego świeżo ogolonej brody i szczęki pod opalenizną, stanowcze usta – wymowny element jego twarzy. Murphy określił jego wiek na dwadzieścia siedem lub dwadzieścia osiem lat. Sam miał sześćdziesiąt – wiek, w którym docenia się i potajemnie zazdrości młodości, pełnej młodzieńczego wigoru. Carson skomplementował zjazd Trevisona po ścianie rozpadliny.

– Ależ z ciebie rewelacyjny jeździec, mój chłopcze!

– Czarny to sprytny koń. – Uśmiechnął się Trevison. Murphy był zadowolony, że docenił wysiłki konia. – Jest dobrze wyszkolony, mądrzejszy od niektórych ludzi, ale też skomplikowany.

Poklepał smukłą, muskularną szyję bestii, a zwierzę zarżało delikatnie.

– Jest jednak defensywny w stosunku do swego pana – Zaśmiał się Trevison. – Krótco po tym, jak wszedłem w jego posiadanie, facet celował do mnie z broni, zaskoczył mnie i nie żartował. Musiałem strzelać. Chcąc go zdezorientować, rzuciłem się w jego stronę na koniu. Od tej pory za każdym razem, gdy Czarny widzi człowieka z bro-

¹ *Zwrotnica* – część rozjazdu kolejowego prowadząca zestawy kołowe pojazdu szynowego na zamierzony tor.

nią w dłoni, myśli, że należy go przewrócić. Nie ma mowy o powstrzymaniu go. Nie pozwoli nikomu nawet wyciągnąć chusteczki z kieszeni spodni, gdy na nim siedzę. – Uśmiechnął się Trevison. – Spróbuj Carson, ale zanim to zrobisz, najpierw upewnij się, że rozdziela was ten głaz.

– Nie podoba mi się, jak na mnie patrzy – odmówił Irlandczyk. – Nie wątpię, że naprawdę się o mnie martwisz, ale większy chojrak jest z jego właściciela, albo możesz nazwać mnie kłamcą!

Trevisonowi zaiskrzyły oczy.

– Porządny z ciebie szef budowy, Carson, ale cieszę się, że zacząłeś bardziej się troszczyć.

– O kogo?

– O swoich ludzi – Trevison obejrzał się do tyłu. Zrobił to już wcześniej, kątem oka. Robotnicy wałkonili się, ciesząc się krótkim odpoczynkiem, wykorzystując chwilowe zaniedbanie Carsona, bo ostatni wagon został już wypełniony.

– Do diabła, będę miał przez was kłopoty!

Carson zamachał rękoma i robotnicy rzucili się do wagonów. Kiedy ostatni mężczyzna już wsiadł, lokomotywa zakrzuszyła się i potoczyła wolno. Carson wdrapał się do kabiny maszynisty z okrzykiem: „Na razie, chłopcze!”. Trevison prowadził konia silną ręką, bo zwierzę zaczęło pisać na odgłos dźwięków wydawanych przez lokomotywę. Pełne wagony mijały go, pędząc teraz coraz szybciej, a robotnicy uśmiechali się do niego i z szacunkiem uchylali kapeluszy. Pochodzili oni bowiem z jednego z łacińskich krajów Europy i w tej heroicznej postaci, w człowieku, który zjechał na koniu po stromej ścianie wyrwy, ujrzeli żywioł.



Rozdział II

W którym rodzi się nienawiść

Dla niektórych romantyzm zamieszkuje nieznanne i niezwykle krainy, a dla innych nie istnieje w ogóle. Niektórzy z przyjaciół Rosalind Benham nie byliby w stanie dostrzec niczego poza ordynarnością i nędzą Manti, gdyby tak jak miss¹ Benham wyglądali przez jedno z okien pociągu, z prywatnego wagonu jej ojca, który wcześniej tego ranka zatrzymał się na zwrotnicy na obrzeżach miasta. Owi przyjaciele nie zauważyliby niczego poza dziwacznymi i pstrokatymi budynkami, ze zbyt dużą liczbą saloonów², niż wydawało się to potrzebne ze względu na zauważalny brak obywateli. Wzdrygnęliby się na widok zakurzonych ulic, odpadków i nieczystości, na ponury obraz osamotnienia i opuszczenia, nieszczęście, całkowite odosobnienie i pustkowie. Przyjaciele ci nie zwróciliby uwagi na rozległe, spokojne, zielono-brązowe równiny, które rozciągały się w zawodzącą tęsknie dal; na wiszące nad nimi cudownie błękitne i bezchmurne niebo; nie zauważyliby gajów drzewnych ciągnących się tu i tam po obliczu ziemi i kuszących tajemniczością. Nie nawiedziłyby ich żadne myśli o wielkości tego kraju – z wyjątkiem tego, że przypominała im o przynębiającej odległości dzielącej ich od blasku i blichtru Wschodu. Góry, odległe i lśniące, nic by dla nic nie znaczyły; intensywna i ostra woń szalwii³ mogłaby przyprawić ich o mdłości.

Tymczasem miss Benham ujrzała Manti i jej okolicę po raz pierwszy tego ranka – o świcie, z okna pociągu, spoczywając na swej ku-

¹ *Miss* (ang.) – panna, panienska.

² *Saloon* (ang.) – bar z wyszynkiem charakterystyczny dla Dzikiego Zachodu. Saloony obsługiwały klientów takich jak: kowboje, traperzy futer, drwale, żołnierze, górnicy, hazardziści.

³ *Szałwia* (*Salvia*) – rodzaj roślin z rodziny jasnotowatych (wargowych); wieloletni półkrzew, liście szare, kwiaty niebiesko-fioletowe.

szetce¹ – i była nimi zachwycona. Leżała przez chwilę, wtulona w swe posłanie, oglądając wschód słońca nad majaczącymi w dali górami, a aromat szaławii, wpadający do środka przedziału przez wpółotwarte okno, wnosił ze sobą coś jeszcze – czar dziewiczej krainy.

Ciotka Agatha Benham, przyzwoitka² i opiekunka, czterdziestoletnia panna z wyboru – choć rozliczne nieżyczliwe osoby żartobliwie robiły aluzje do jej nieudanych podbojów – obudziła się krótko po godzinie dziewiątej i zastała Rosalind wyglądającą ekstatycznie przez okno wagonu. Agatha wygramoliła się ze swej kuszетки, siadła na jej brzegu i ziewnęła sennie.

– Manti, jak sądzę – stwierdziła cierpko, odsuwając na bok zasłonkę i wyglądając przez okno. – Miałyśmy dużo szczęścia, że nie zaatakowali nas Indianie albo bandyci. Przynajmniej za to powinniśmy być wdzięczne.

Sarkazm Agathy nie przeniknął pancerza obojętności Rosalind, jak zwykle zresztą. Kobieta miała swoje miejsce w sercu dziewczyny, lecz nie w jej programie przyjemności. Skoro już musiała mieć przyzwoitkę, Agatha była do zaakceptowania. Nie oznaczało to jednak, że uczyniła z niej swą powierniczkę. Patrzyła ona bowiem na świat oczyma kobiety czterdziestoletniej, gdy tymczasem dwudziestolatka postrzega go bardziej romantycznie.

– Co twój ojciec sobie myślał, pozwalając ci tu przyjechać, pozostanie dla mnie tajemnicą – kontynuowała surowo Agatha, układając włosy. – Cały on, narobić mi tyle zamieszania tylko po to, aby zaspokoić twoją ciekawość na temat tego miejsca. Będziemy niedługo wracać, jak sądzę?

– Ciociu, nie bądź niecierpliwa – rzekła dziewczyna, wciąż wyglądając przez okno. – Mam zamiar rozciągnąć trochę nogi, zanim wybiorę się w drogę powrotną.

– Litości! – sapnęła Agatha. – Cóż to język! Ten barbarzyński kraj już ma na ciebie wpływ, moja droga! Nogi! – Przerazenie pojawiło

¹ *Kuszетка* – pot. wagon kolejowy, osobowy mający w przedziałach miejsca leżące (rozkładane oparcia siedzeń i półki).

² *Przyzwoitka* (ang. chaperone) – osoba towarzysząca zakochanym, zakłócająca ich intymność.

się na jej twarzy, ale na Rosalind nie zrobiło to wrażenia, nadal wyglądała przez okno.

W rzeczy samej, po charakterystycznym błysku w oku dziewczyny można by mniemać, iż szokowanie Agathy sprawiało jej pewną przyjemność.

– Myślę, że spędzę tu trochę czasu – powiedziała Rosalind. – Tatusz powiedział, że nie ma pośpiechu; on sam może dotrzeć tu za miesiąc. Miałam już dość tych małostkowych konwenansów Wscho-du. Choć raz będę prawdziwym człowiekiem, ciociu. Mam zamiar „prowadzić spartański tryb życia”¹ – na tyle, na ile to możliwe dla kogoś, kto podróżuje w prywatnym wagonie. Mam zamiar zdobyć konia i rozejrzeć się po okolicy. I ciociu...

W tym miejscu głos dziewczyny załamał się, jak gdyby szarpnęła nią jakaś głęboka emocja.

– Mam zamiar jeździć okrakiem na koniu!

Nie spojrzała, aby sprawdzić, czy Agatha przeżyła kolejny szok, bo kobieta przeżyła już dużo takich szoków. Gdy po kilkuminutowej ciszy ciotka znów się odezwała, wydawało się, że dziewczyna przypomniawszy sobie, że w przedziale jest z nią ktoś jeszcze. Głos Agathy przepelniała pogarda.

– Nie wiem, co ty widzisz w tym obcym kraju. Co może zrekom-pensować ci to, co masz w domu.

Dziewczyna nie odwróciła się.

– Mężczyzna na karym koniu, ciociu – powiedziała. – Przejechał tędy dwukrotnie. Nigdy nie widziałam takiego konia. Nie przypominam sobie również, żebym kiedykolwiek widziała mężczyznę podobnego do jego jeźdźca. Wygląda zdecydowanie jak bohater! Zbudowany jak rzymski gladiator², porusza się na koniu, jakby był na nim wyrzeźbiony. Głowę trzyma w taki sposób, że widać, iż ma własne zdanie. Na ten widok przeszły mnie ciarki, pierwszy raz od opuszczenia Nowego Jorku!

¹ *Spartański tryb życia* – prosty, surowy, o twardych regułach, ascetyczny, ciężki, pozbawiony wygód, skromny.

² *Gladiator* (łac. gladiatores, gladius – miecz) – w starożytnym Rzymie zawodnicy walczący na arenie między sobą lub ze zwierzętami.

– Chyba cię nie zauważył! – wykrzyknęła lodowato Agatha. – Oczywiście o to zadbałaś?

Dziewczyna rzuciła psotne spojrzenie na starszą kobietę. Przesunęła dłonią po włosach, brązowych i zdrowo wyglądających. Następnie zakryła oczy dłońmi i patrzyła na swe odbicie w lustrze. W negliżu wyglądała świeżo i czarująco, jak promieniejąca bogini, tak jawiła się Brandowi Trevisonowi, gdy przypadkowo zauważył ją, przyglądającą mu się, w oknie pociągu. Nie wiedział, że dama obudziła się dopiero ze snu. Przysięgłby, że żaden „beauty sleep”¹ nie był jej potrzebny. Naumyślnie minął wagon ponownie, aby raz jeszcze ją zobaczyć. Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Nie jestem tego taka pewna, ciociu. Nie bądźmy pruderyjne. Nawet jeśli mnie widział, to nie dał tego po sobie poznać, a ponadto jest dżentelmenem. – Wyjrzała przez okno i uśmiechnęła się jeszcze raz. – Ciociu, spójrz, to znowu on!

Tym razem to Agatha rozsunęła zasłonkę. Twarz jeźdźca była skierowana przodem do okna, więc to właśnie ją zobaczył. W jego spojrzeniu pojawił się wyraz niejasnego zaskoczenia, które szybko zamieniło się w rozczarowanie. Na ten widok Rosalind zachichotała cicho i ukryła swą rozczochraną głowę w poduszce.

– Bezczelny cham! Rosalind, jak on śmiał spojrzeć wprost na mnie! Jestem pewna, że jeszcze chwila, a mrugnąłby do mnie! Dżentelmen! – powiedziała lodowatym tonem.

– Nie bądź surowa, ciociu. To z pewnością dżentelmen, mimo swej ciekawości. Spójrz, odjeżdża bez oglądania się za siebie!

Pół godziny później obie kobiety weszły do jadalni. Dobrze zbudowany, raczej potężny, ale przystojny mężczyzna, wszedł w tym samym czasie przeciwnymi drzwiami. Wylewnie powitał obie damy i z uśmiechem spojrzął na zegarek.

– Panie dzisiaj zasnęły, czyż nie tak? Jest po dziesiątej. Poszedłem trochę rozejrzeć się po mieście. To raczej prymitywne miejsce w porównaniu ze Wschodem, ale z czasem ... – Wykonał gest, który mógł

¹ *Beauty sleep* (ang.) – ilość snu potrzebna do zachowania młodego i pięknego wyglądu.

by być niemą przepowiednią, że pewnego dnia Manti prześcignie Nowy Jork. Kłaniając się, zaprosił je do stołu, zabawiając rozmową, podczas gdy ciemnoskóry kelner uprzejmie im usługiwał.

– Na początku myślałem, miss Benham, że pani ojciec pałał nadmiernym entuzjazmem do tego miejsca – kontynuował. – Im bardziej je jednak poznaję, tym bardziej przekonany jestem, że miał rację. Istnieją tu olbrzymie możliwości rozwoju. Nawet obecnie jest to dość żyzny i urodzajny kraj. Będzie tu gwaro, gdy tylko kolej żelazna i zaporą zostaną ukończone. Usytuowanie miasta jest dobre. Nie ma żadnego innego w odległości stu mil w jakąkolwiek ze stron.

– Z niecierpliwością oczekuje pan rozwoju miasta, nieprawdaż, panie Corrigan?

– Doskonale pani to ujęła, miss Benham. Być może jednak lepiej byłoby powiedzieć, że jestem postępowym emisariuszem powodzenia i dobrobytu. To brzmi mniej interesownie. Nie możemy pozwolić na to, aby pogląd, że zwykły pieniądz ma być siłą napędową naszych wysiłków, wydostał się dalej.

– Zarabianie pieniędzy jest jednak ostatecznie istotnym motywem? – stwierdziła sucho miss Benham.

– Zgadzam się z tym, że w życiu istnieje kilka sił napędowych i że zarabianie pieniędzy należy do tych bardziej fascynujących.

– A pozostałe? – Corrigan miał wrażenie, że twarz panny Benham była bardzo poważna, lecz Agatha, która znała Rosalind lepiej, niż znał ją Corrigan, wiedziała, że dziewczyna była jedynie sarkastyczna.

– Inne to miłość i nienawiść – odpowiedział powoli.

– Umieściłby pan zarabianie pieniędzy przed miłością? – droczyła się Rosalind.

– Pieniądze nadają miłości szczególnego smaku. – Zaśmiał się Corrigan. Jego śmiech był wymowny, spojrział dziewczynie w oczy, w jego spojrzeniu tlił się ogień.

– Tak – wolno kontynuował. – Zarabianie pieniędzy to wielka namiętność. To moja pasja, ale potrafię też kochać i nienawidzić. Gdy już to robię, to obie rzeczy robię równie mocno, a wówczas...

Agatha odchrząknęła zniecierpliwiona. Corrigan zaczerwienił się lekko, a miss Benham zdusiła coś w sobie i zrećźnie przekierowała rozmowę na mniej osobiste tory.

– Zamierza pan, jak sędzę, budować manufaktury i komunalne elektrownie, zakładać banki, spekulować na rynku nieruchomości i tym podobne rzeczy?

– I zbudować zaporę. Bank już mamy, miss Benham.

– Czy ojca zainteresują te sprawy?

– Bez wątplenia. Rozumie pani, że będąc prezesem kolei żelaznej, pani ojciec musi być na bieżąco. Faktyczna promocja tych przedsięwzięć zostanie przeprowadzona przeze mnie.

Miss Benham wyjrzała rozmarzona przez okno, następnie zwróciła się do Corrigan i wpatrywała się w niego zamyślona, choć jej wzrok był tak nieobecny, że mroził wszelkie miłosne zapędy Corrigan.

– Ma pan rację, jak sędzę – powiedziała. – To musi być pasjonujące, odczuwać świadomą władzę nad przeznaczeniem społeczności, kierować jej rozwojem, zarządzać nią i symbolicznie chwycić branżę za... – kontynuując, spojrzała figlarnie na Agathę – kończyny i potrząsnąć nimi, aby wyleciały z nich dolary. To musi być o wiele bardziej ekscytujące niż zwykłe zakochanie się.

Rzuciła tęskne spojrzenie przez okno, a Agatha ponownie podążyła za wzrokiem Rosalind i ujrzała kruczożarnego konia stojącego przed sklepem. Zmarszczyła brwi i rzuciła chłodno:

– A mnie się wydaje, że ludzie w takich małych miastach jak Manti nie są w stanie radzić sobie z tak dużymi przedsięwzięciami, o jakich mówi pan Corrigan. – Spojrzała na Rosalind, a dziewczyna zrozumiała, że miała na myśli jeźdźca na karym koniu, i uśmiechnęła się słodko.

– O, na pewno znajdzie się wśród nich kilku inteligentnych!

– Z reguły – oświadczył Corrigan autorytatywnie – pierwsi obywatele jakiegokolwiek miasta stanowią zwykle nieokrzesaną i bezwartościową zbieraninę.

– A zatem Czteryestu¹ będzie wyjątkiem od reguły! – zaśmiała się Rosalind.

¹ Czteryestu (ang. The Four Hundred) – lista modnego nowojorskiego społeczeństwa w czasie Połzającego Wieku; grupa prowadzona przez Caroline Schermerhorn Astor; ludzie, którzy czuli się swobodnie w salach balowych wyższych sfer.

Corrigan jej zawtórował.

– Oczywiście rozumie pani, co mam na myśli. Weźmy za przykład Manti albo jakiegokolwiek inne nowo powstałe zachodnie miasto. Reprezentują je najniższe elementy społeczeństwa. Większość mieszkańców to ignoranci i przestępcy.

Dziewczyna rzuciła Corriganowi ostre spojrzenie, choć on wcale tego nie zauważył. Czyżby pomiędzy nim a Agathą istniała jakaś nić tajnego porozumienia? Czy Corrigan również był świadom pielgrzymek jeżdźca przed oknem wagonu? Oboje go szkalowali. Dziewczyna dostrzegła jednak w jego twarzy inteligencję i coś, co mówiło jej, że nie jest przestępcą. Pomimo jego efektownego stroju i atmosfery bezkresnego pustkowia, jaka go spowijała, wywarł na niej o wiele większe wrażenie niż Corrigan, mroczny, przystojny, zadbany, gładki i lśniący wytwór ugrzeczionych konwenansów i wychowania, którego z woli ojca miałyby posłubić.

– A zatem – rzekła, wpatrując się w czarnego jak smoła wierzchowca. – Zanim wyrażę swoją opinię o tym mieście, mam zamiar bliżej przyjrzeć się mieszkańcom Manti.

Pół godziny później Rosalind szła wzdłuż jedynej ulicy Manti z Corriganem u swego boku. Miał na sobie ubranie w kolorze khaki, szeroki filcowy kapelusz, długie buty i chustkę na szyi. Choć zmienił garderobę, to emanował opanowaniem i wytwarzał aurę, która silnie przywodziła na myśl dobrodziejstwa cywilizacji. Rosalind wyczuła dumę. Był potężny, władczy, fascynujący.

Z bliska Manti wydawało się fałszywe i groteskowe. Po pierwsze, jego ordynarność była bardziej rażąca, a niepomalowane fronty budynków prezentowały się marnie i sezonowo. W porównaniu z okazałymi budowlami Wschodu, konstrukcje Manti były rudermi. Było to prymitywne miasto w pierwszym przebłytku jego stworzenia. Miss Benham się nie śmiała, przed jej oczyma malował się pamięciowy obraz – coś na kształt wybrzeża Nowej Anglii, nisko wiszące niebo, grupa pielgrzymów ze Starego Świata¹ dygoczących

¹ *Nowa Anglia* (ang. New England) – region Stanów Zjednoczonych ulokowany na północnym wschodzie kraju, kolebka kultury amerykańskiej; składa się z sześciu stanów: Maine, New Hampshire, Vermont, Massachusetts, Rhode Island i Connecticut; *Pielgrzymi* (ang. pilgrims) – grupa 102 purytanów (łac. purus: „czysty” – ruch

z zimna, skulonych wokół płonącego ogniska, statek na otwartym morzu. To również byli kiedyś pierwsi obywatele. Obraz ten oraz obraz Manti przedstawiały ducha Ameryki.

Było tu może ze dwadzieścia budynków. Corrigan pokazał jej kilka z nich. Zauważyła jednak, że nie zabrał jej do sklepu, przed którym stał kary koń. Została przedstawiona kilku właścicielom. Dwa razy podслуchała fragmenty rozmowy pomiędzy nimi a Corriganem. Za każdym razem brzmiała ona tak samo:

- Czy jesteś właścicielem tej nieruchomości?
- Budynku.
- Do kogo należy ziemia?
- Do spółki z Nowego Jorku.

Corrigan przedstawił się jako zarządca spółki i mówił o otwarciu biura. Mężczyźni rozmawiali o dzierżawie. Ta ostatnia wydawała się ograniczona do dwóch miesięcy.

– Do zobaczenia przed wygaśnięciem umowy – usłyszała, jak Corrigan mówił do mężczyzn.

– Czy kolej jest właścicielem terenu miasta? – spytała Rosalind, gdy wyszli z ostatniego ze sklepów.

– Tak. A dzierżawa będzie obecnie bardziej wartościowa.

– Nie ma pan chyba zamiaru wymuszać od nich pieniędzy po tym, jak ponieśli wydatki na wzniesienie budynków?

Uśmiechnął się uprzejmie.

– Będą traktowani z najwyższą uwagą, miss Benham.

Wprowadził ją do banku. Jak i pozostałe budynki, bank posiadał szkieletową konstrukcję¹. Jedyne olbrzymi sejf stojący na tyłach

religijno-społeczny) z Anglii, którzy 21 listopada 1620 roku na statku „Mayflower” przybyli do Nowej Anglii i osiedlili się, zakładając pierwszą angielską kolonię na terenie stanu Massachusetts, w miejscu dzisiejszego Plymouth; *Stary Świat* (ang. the Old World) – określenie wprowadzone w Europie w okresie wielkich odkryć geograficznych dla kontynentów znanych Europejczykom już od starożytności bezpośrednio lub z relacji, czyli Europy, Azji i Afryki; jego użycie związane było z odkryciem Ameryki, czyli Nowego Świata, do którego zaliczono później także Australię i Oceanię wraz z Antarktydą.

¹ *Konstrukcja szkieletowa* – budowlana konstrukcja, której element nośny stanowi układ złożony z prętów pionowych (słupów) i poziomych (belek, rygli, podciągów)

pomieszczenia i ciężka drucziana siatka, służąca za okienko kasowe, świadczyły o tym, że jest to bank. Za okienkiem kasowym stało kilka krzeseł i biurko, a za nim siedział mężczyzna około czterdziestki. Na widok gości wstał, podszedł do nich i uśmiechając się szeroko, wyciągnął dłoń do Corrigan.

– A więc jesteś wreszcie, Jeff – powiedział. – Widziałem pociąg stojący na zwrotnicy dziś rano. Przedstawienie wkrótce się rozpocznie, co? – Spojrzał pytająco na Rosalind, a Corrigan przedstawił ją. Usłyszała godność mężczyzny: „Crofton Braman”, wymówioną cicho przez jej eskortę, potwierdziła oficjalną prezentację i podeszła do drzwi, gdzie stanęła, wyglądając na ulicę.

Braman wzbudzał w niej obrzydzenie, nie wiedziała dlaczego. Może chodziło o bliżej nieokreślony chytry błysk w jego oku, dziwnie połączony ze zuchwałą uwagą, gdy na nią patrzył; zbyt wylewne zachowanie; wygładzony, przymilny uśmiech – wszystko to kojarzyło jej się ze spiskami i intrygami.

Nie zastanawiała się nad tym długo. Po przeciwległej stronie ulicy zauważyła jeźdźca, stojącego obok karego konia przy balustradzie sklepu, który Corrigan ominął. Widziana z tej odległości twarz jeźdźcy, była jeszcze bardziej wyrazista. Zauważyła, że był przystojny, prawie tak samo jak Corrigan, choć w innym typie. Stojąc, nie wydawał się tak wysoki jak Corrigan ani tak masywny. Był za to smukły i silny, a w jego ruchach, gdy odwiązał swego wierzchowca, zarzucił mu lejce przez głowę i poklepał po szyi, była taka swoboda i wdzięk, że w oczach Rosalind zabłysnął podziw.

Jeździec nie spieszył się, aby dosiąść swego konia. Dziewczyna była pewna, że dwa razy, gdy klepał zwierzę po szyi, spojrzał na nią ukradkiem, a rumieniec wypłynął jej na policzki na wspomnienie okna wagonu.

Nagle rozległ się głos. Z jednego z saloonów wyłonił się mężczyzna, rzucił okiem na jeźdźca i zawołał wesoło:

i której sztywność jest zapewniona np. przez zastosowanie tzw. połączeń sztywnych (przenoszących momenty zginające) lub stężeń (ściennych i połączeniowych, podłużnych i poprzecznych).

– A niech mnie, jeśli to nie stary, dobry Brand! Gdzieś ty się, do diabła, podziewał? Z tydzień cię nie widziałem!

Przyjaźń przemówiła i serce dziewczyny zalało ciepło. Przyglądała się z uśmiechem, jak ów mężczyzna podszedł do jeźdźca i gorąco uściśnął jego dłoń. Taka wylewność byłaby postrzegana jako obłuda na Wschodzie. Zawsze krzywiono się tam na przejawy prawdziwej ludzkiej natury. Ale to, co najbardziej spodobało się dziewczynie, to dowód na to, że jeździec był lubiany. Następne dowody pojawiły się szybko. Nadeszły z kolejnych saloonów w postaci innych mężczyzn, którzy usłyszeli okrzyk tego pierwszego. Chwilę później jeździec stał otoczony przyjaciółmi.

Dziewczyna była coraz bardziej zainteresowana. Zapomniała o Bramanie, Corriganie, zapomniała o tym, że stała w drzwiach banku. Oglądała człowieczeństwo pozbawione wszelkich konwenansów. Tymi ludźmi nie rządził paraliżujący wzgląd o opinię publiczną, skutecznie tłumiący wszelkie odruchy serdeczności wśród ludzi, których znała.

Usłyszała, jak zawołano go po imieniu, i nagle zdała sobie sprawę, że je wymówiła: „Brand”! Cóż to za dziwne imię! A jednak pasowało do niego. Był typem człowieka, którego rzadko się widuje – czysty, postawny, atletyczny, męski, pociągający. Dominował grupę swą osobowością; uwaga wszystkich skupiona była na nim. Popularność nie wydawała się burzyć jego opanowania, właściwie wcale nie był jej świadomy. Dziewczyna pilnie wypatrywała tych objawów. Gdyby tylko okazał najmniejszą oznakę samouwielbienia, straciłaby zainteresowanie nim. Wydawał się trochę zakłopotany, co czyniło go jeszcze bardziej atrakcyjnym. Żartował wesoło z mężczyznami, a kilka razy odpowiedział na jakąś dowcipną uwagę i rozśmieszył pozostałych.

I kiedy tak przyglądała mu się, rozmarzona, nagle usłyszała, jak kilka głosów zaczęło nalegać: „Pokaż go”. Odmówił, a kiedy znów zaczęli się domagać, przemówił do nich spokojnie, a ona poczuła na sobie ich wzrok. Wiedziała, że odmówił z jej powodu. Domyśliła się, że chodziło o jego konia. Skrycie liczyła na to, że jeździec zdoła przewyciężyć uprzedzenia, albowiem uwielbiała karego wierzchowca

i była pewna, iż jakikolwiek występ w jego wykonaniu byłby wart obejrzenia. Aby zachęcić jeźdźca, odwróciła się tyłem, udając, że ją to nie interesuje. Kiedy jednak usłyszała okrzyki zachwytu wydawane przez grupkę mężczyzn, znów rzuciła okiem i zobaczyła, że jeździec dosiadł konia i usadowił się w siodle. Uśmiechał się szeroko do mężczyzny, który wyjął z kieszeni harmonijkę i pocierał ją o rękaw koszuli, przygotowując się do umieszczenia jej w ustach.

Jeździec zaszedł już za daleko, nie mógł się teraz cofnąć i Rosalind obserwowała go z czystej ciekawości. Po chwili, gdy dźwięki harmonijki uderzyły w nieruchome, poranne powietrze, koń zaczął poruszać się tanecznym krokiem.

To, co nastąpiło potem, skojarzyło się dziewczynie ze sceną wprost z cyrkowej areny. Koń, dumny, dostoyny, poruszał się wolno tanecznym stępem¹ w takt akompaniamentu muzyki, wykonując trudne kroki, które musiały wystawić na próbę cierpliwość zarówno zwierzęcia, jak i trenera podczas ich nauki. Jeździec pozostawał smukły, uważny, równie dumny, uśmiechający się z zadowoleniem.

Rosalind stała tam długo, obserwując całą scenę. Był to zręczny pokaz i zaczęła się zastanawiać, czy jeździec całe życie mieszkał na Zachodzie.

Zwierzę dokonało kilka istic cyrkowych wyczynów, a dziewczyna była pochłonięta ich oglądaniem do tego stopnia, że nie zauważyła Corrigan, gdy ten wyłonił się z budynku banku. Wyszedł na ulicę i obserwował jeźdźca. Dostrzegła go wreszcie, gdy Czarny przejechał na jej stronę ulicy z konieczności wykonania skrętu i przemknął obok niego. A wówczas, lekko zszokowana, zauważyła, że Corrigan uśmiecha się kpiąco. Na dźwięk aplauzu ze strony grupki znajdującej się po przeciwnej stronie ulicy, drwina Corrigan zamieniła się w szyderstwo. Miss Benham poczuła oburzenie; lekki rumieniec wypłynął jej na policzki. Nie mogła pojąć, jak Corrigan mógł okazywać niezadowolenie z powodu tak zręcznej i zmyślnej rozrywki. Patrzyła na niego, gdy ten odwrócił się i uchwycił jej spojrzenie. Blask w jego oku był zdecydowanie jadowity.

¹ *Step* – najwolniejszy chód konia.

– Czyż to trochę nie zbyt popisowy pokaz jak dla pani, miss Benham? – zapytał.

Jego głos rozległ się w ciszy, która zapadła po aplauzie. Rosalind usłyszała go głośno i wyraźnie. Usłyszał go również jeździec na karym koniu. Rosalind zerknęła na niego z ukosa i zobaczyła pobladłą pod opalenizną twarz. Głos dotarł również do przeciwległej strony ulicy i dziewczyna ujrzała oblicza pełne napięcia; zauważyła, że postacie znieruchomiały. Bezbarwna, złowieszcza cisza, która zapadła, wydawała się nierzeczywista i przygniatająca. Nagle rozległ się głos jeźdźca, gdy ten ponaglił swego wierzchowca i stanął w odległości jakichś trzech lub czterech kroków od Corrigan. Siedział w siodle, przyglądając się mu. Po raz pierwszy Rosalind ujrzała jego twarz z tak bliska i zadrżała. Jego szczęki były zaciśnięte – wiedziała, że jego zęby również, usta pozostawały stanowcze i zasznurowane. Była to twarz człowieka, z którym nie ma żartów. Wysunął lekko szczękę do przodu, co spowodowało, że lodowata ironia w jego zmrużonych, spokojnych oczach stała się jeszcze bardziej wyrazista. Gdy przemówił do Corrigan jego głos był tak metaliczny, że zadźwięczał w ciszy, która zapadła.

– Stań do walki albo cofnij swoje słowa – wycedził.

Corrigan się nie poruszył. Wpatrywał się uporczywie w jeźdźca, a jedyną oznaką emocji wywołaną słowami tego ostatniego było szybkie poruszanie się gałek ocznych. Leniwie postukał palcami w rękaw swej koszuli koloru khaki, ramiona miał złożone na piersi. Jego głos dorównywał w opanowaniu głosowi jeźdźca.

– To była prywatna rozmowa, a ty wtrącasz się bez powodu.

Rosalind obserwowała jeźdźca z zapartym tchem, wypełniona nagłym przeczuciem o zbliżającej się tragedii. W jego spojrzeniu widziała groźbę i nieuchronność cielesnego czynu. Zaniepokojona, kierowana impulsem, aby zapobiec zagrożeniu, zrobiła krok do przodu i przemówiła szybko do Corrigan:

– Panie Corrigan, to zdecydowanie niemądre! Sam pan dobrze wie, że nie był pan dyskretny!

Corrigan uśmiechnął się chłodno i dziewczyna zrozumiała, że nie była to kwestia dobra lub zła pomiędzy dwoma mężczyznami, ale kon-

flikt ducha. Nie wiedziała, że tu narodziła się nienawiść; że instynktownie jeden uważał drugiego za wroga i że dzisiejsze zderzenie było zaledwie jedną batalią w wojnie, która będzie się toczyć pomiędzy nimi, jeśli obaj przeżyją.

Nawet na moment Corrigan nie spuścił wzroku z jeźdźca. Wynioskowość z jego spojrzenia, że nie może spodziewać się dalszych słów. I więcej słów już nie padło. Prawa ręka jeźdźca opadła na kolbę pistoletu zwisającego nisko na jego prawym biodrze. Równocześnie dłoń Corriganu sięgnęła do kieszeni na jego boku.

Rosalind ujrzała, jak kary koń rzuca się do przodu, jak gdyby pod siłą sprężyny. Chmura kurzu wzniosła się spod jego kopyt i Corrigan w niej zniknął. Kiedy kurz opadł, dziewczyna ujrzała Corrigan na kolanach, dziwnie zgiętego w pół, twarzą do ziemi. Czarny uderzył go swym bokiem – Corrigan wyglądał, jakby był poważnie ranny.

Przez chwilę dziewczyna stała, chwiejąc się i rozglądając dookoła błagalnie, ze zdumieniem i przerażeniem w oczach. Wszystko stało się tak szybko, że była oszołomiona. Była świadoma tylko jednej rzeczy – była wdzięczna, że żaden z mężczyzn nie użył broni.

Nikt się nie poruszył. Myślała, że ktoś przyjdzie Corriganowi z pomocą. Nie wiedziała, że etyka zakazuje mieszania się, że walka trwała, dopóki jeden z walczących nie przyzna się do przegranej.

Corrigan leżał twarzą na ziemi; nie ruszał się. Koń stał teraz spokojnie, w odległości kilku stóp od niego. Jeździec zsiadł z wierzchowca, podszedł do Corriganu i odwrócił go. Poruszał ramionami, nogami i szyją leżącego człowieka, po czym ukląkł i przyłożył głowę do jego piersi. Wstał i poszedł w stronę dziewczyny wymuszony uśmiech.

– Jest tylko nieprzytomny, miss Benham. To nic poważnego, Czarny...

– Ty tchórze! – przerwała mu, jej głos przepelniała złość.

Jego usta zbieleły, lecz uśmiechnął się słabo.

– Czarny... – zaczął ponownie.

– Tchórze! Tchórze! – powtórzyła, stojąc przed nim, niewzruszona, z zacisniętymi pięściami i pogardliwie wygiętymi ustami.

Uśmiechnął się z rezygnacją i odwrócił. Stała, patrząc, jak odchodzi, nienawidząc go, rzucając za nim przekleństwa w myślach,

aż zniknął w drzwiach banku. Wówczas odwróciła się i zobaczyła, że Corrigan właśnie zaczął się podnosić.

Żaden z mężczyzn po przeciwnej stronie ulicy się nie poruszył. Oni również obserwowali, jak Trevison wszedł do banku, a teraz przenieśli wzrok na dziewczynę i Corriganą. Widziała wyraźnie, że popierali Trevisona; kilku z nich uśmiechnęło się na widok podnoszącego się mieszkańca Wschodu.

Corrigan był błądy i nie mógł złapać tchu, ale uśmiechnął się do dziewczyny i powstrzymał ją, gdy próbowała pomóc mu otrząść ubranie z kurzu. Zrobił to sam i otarł twarz chusteczką.

– To nie w porządku – wyszeptła ze współczuciem. – Prawie żałuję, że go nie zabiłeś! – dodała mściwie.

– Mój Boże, cóż za dynamit! – uśmiechnął się szeroko. Pomyślała sobie, że wygląda przystojniej, gdy jest taki pokryty kurzem, niż gdy pozostaje wytworny, nieskazitelny i doskonały.

– Bardzo cię boli? – spytała z troską, na dźwięk której rzucił jej szybkie spojrzenie.

Zaśmiał się i poklepał ją lekko po ramieniu.

– Ani trochę – powiedział. – Chodźmy stąd, ci mężczyźni się gapią.

Odprowadził ją do samych schodów prywatnego wagonu i zatrzymał się na chwilę, aby przeprosić za swój udział w tym całym zajściu. Powiedział jej szczerze, że to była jego wina. Wiedział dobrze, iż to, co zrobił Trevison, przewyższało wszelką urazę, którą mogłaby odczuwać wobec błędu, jaki popełnił on sam, doprowadzając do starcia w jej obecności.

Przebaczyła mu łaskawie, a moment później sama weszła do wagonu. Poinformował ją, że wróci niebawem. Musiał udać się na stację, gdzie zamierzał nadać telegram. Posłała mu uśmiech, stojąc na pomoście wagonu, olśniewająca, obiecująca. Serce podskoczyło mu z radości i gdy tak szedł w kierunku stacji, powiedział głośno do siebie:

– Warto było dać się znokautować za coś takiego.

Gdy dotarł do stacji, szczęki miał jednak mocno zaciśnięte. Nie wszedł tam, ale obszedł jej zewnętrzną ścianę, przechodząc między nią a innym budynkiem, i znalazł się przed frontowym wejściem do

banku. Zobaczył, że kary wierzchowiec nadal tam stoi, a grupa mężczyzn zniknęła. Ulica była pusta.

Ruchy Corrigan stały się szybkie i złowrózbnne. Wyciągnął ciężki rewolwer z kieszeni na biodrze, wsadził kolbę częściowo w swój rękaw i ukrył luźną w dłoni. Wtedy wkroczył do banku. Dostrzegł Trevisona stojącego w jednym z okratowanych okien drucianej siatki, rozmawiającego z Bramanem. Corrigan zrobił kilka kroków, zanim Trevison go usłyszał. Wtedy Trevison się odwrócił i zrozumiał, że patrzy prosto w otwartą luźną pistoletu Corrigan.

– Nie uciekłeś – odezwał się ten ostatni. – Myślałeś, że już po wszystkim, ale nie jest. – Uśmiechnął się lodowato. Był wyrachowany i opanowany, choć na policzkach wykwitły mu purpurowe rumieńce, zdradzając gotującą się w nim wściekłość.

– Nie sięgaj po broń! – ostrzegł Trevisona. – Podziurawię cię, jeśli choć kiwniesz palcem! – Mając Trevisona na oku, przemówił do Bramana. – Jest tu zaplecze?

Bankier wyszedł zza kontuaru i otworzył drzwi za drucianą siatką.

– Tutaj – oznajmił.

Corrigan wskazał drzwi gwałtownym ruchem głowy.

– Ruszaj się! – rzucił krótko do Trevisona. Usta tego ostatniego rozchyliły się w zimnym, pełnym rozbawienia uśmiechu. Zawahał się przez chwilę, ale w końcu uległ.

Za moment wszyscy troje stali pośrodku dużego, pustego pomieszczenia, jeśli nie liczyć składanego łóżka, na którym sypiał Braman, kilku ubrań wiszących na ścianach, ławki i krzesła. Corrigan nakazał bankierowi opróżnić pokój. Gdy to zostało zrobione, Corrigan odezwał się do Bramana:

– Zabierz mu broń.

Błysk ożywienia w oczach Trevisona oznaczał, że wiedział, co zaraz nastąpi, dlatego aż do teraz zachowywał się tak spokojnie; dlatego nie stawiał oporu, gdy Braman przesunął dłońmi po jego ubraniu w poszukiwaniu innej broni, niż ta, którą wyjął z jego kabury¹.

¹ *Kabura pistoletu* – skórzany futerał do pistoletu lub rewolweru.

– A teraz wynoś się stąd i zamknij drzwi! – rozkazał Corrigan. –
I nikogo tu nie wpuszczaj!

Braman wycofał się, uśmiechając się wyczekująco.

Wtedy Corrigan zaczął się cofać, aż doszedł do ściany. Sięgając
wysoko, zawiesił swój rewolwer na gwoździu.

– A teraz – zwrócił się do Trevisona zachrypniętym z wściekłości
głosem. – Zdejmuj ten swój cholerny, dumny ryszunek. Mam za-
miar skopać ci tyłek!



Rozdział III

Pobicie zacnego człowieka

Trevison się nie poruszył. Obserwował uważnie ruchy Corrigan, zwracając uwagę na jego potężną masę, jego zręczność, grę mięśni, gdy cofał się przez pokój, aby odłożyć rewolwer. Niemniej jednak na dźwięk jego głosu, oczy Trevisona rozbłyły gwałtownie płomieniem, jego usta rozchylił szydery uśmiech, a obnażone zęby załśniły bielą. Zachowanie Corrigan uderzyło w czułą strunę wrogości, która powstała między nimi od pierwszego spojrzenia. Równie niecierpliwie oczekiwał konfrontacji, która miała za chwilę nastąpić. Wiedział, że pierwsze starcie nie było jeszcze zakończone. Śmiał się ze szczerej radości, choć była ona zabarwiona dziką determinacją.

– Zachowaj dla siebie te swoje przechwałki – zakpił.

Corrigan szydził:

– Jak stąd wyjdiesz, nie będziesz już taki cholernie ładny.

Zdjął kapelusz i cisnął go w kąt, po czym odwrócił się do Trevisona, uśmiechając się szpetnie.

– Gotów? – spytał.

– Niezupełnie. – Trevison nie posłuchał sugestii Corrigan i nie zdjął swego „cholernego, durnego rynsztunku”, wciąż miał go na sobie: pas z nabojami, skórzane czapsy¹ i ostrogi². Teraz jednak wykonał polecenie Corrigan i odrzucił swój kapelusz. Następnie przycałił się jak do skoku i stawiał czoła Corriganowi.

Krażyli ostrożnie, ostrogi Trevisona brzęczały melodyjnie. Nagle Trevison podszedł szybko, dźgnął Corrigan lewą pięścią, zatrzymał łokciem jego brutalny kontratak i przywalił mu prawym sierpowym.

¹ *Czapsy* (z ang. chaps) – skórzane spodnie bez siedziska, noszone przez kowboja na zwykłych spodniach w celu ochrony nóg.

² *Ostrogi* – część oporządzenia jeźdźca ułatwiająca prowadzenie konia, przede wszystkim pobudzająca go do biegu.

Pięść napotkała na ramię Corrigan, gdy ten zatrzymał siłę uderzenia, która zmusiła obu mężczyzn do cofnięcia się o krok. Corrigan wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu, zaintrygowany rzucił się do przodu.

– Nieźle – powiedział. – Nie jesteś nowicjuszem. Mam nadzieję, że nie poddajesz się łatwo, bo mam zamiar nieźle ci przyłożyć za to przewrócenie mnie wtedy na ziemię.

Trevison uśmiechnął się drwiąco, lecz nie odezwał się ani słowem. Wiedział, że nie wolno mu strzepić języka przy tym człowieku. Corrigan był silny, inteligentny; jego przedramię, które zatrzymało sierpowy Trevisona, wydawało się ze stali.

Trevison znów ruszył z poważnym zamiarem sprawdzenia, jak silny jest jego przeciwnik. Corrigan uchylił się przed mocnym ciosem skierowanym w jego szczękę, a jego prawy sierpowy chybił, gdy Trevison zrobił unik i rzucił się w zapasy. Siłowali się ze szczepionymi ramionami, z rozstawionymi nogami, ich klatki piersiowe falowały, gdy tak zmagali się z uporem.

Corrigan stał jak słup, nie przesunął się nawet o cal¹. Na próżno Trevison wykręcał się, szukając pozycji, w której mógłby oszukać osłabłe mięśnie, lecz choć użył każdej uncji² swej potężnej siły, Corrigan trzymał go mocno. W końcu się rozdzielili. Corrigan musiał odczuć moc mięśni Trevisona, bo jego twarz była zdecydowana i skupiona. Jego oczy załśniły jadownicę, gdy zauważył pewny siebie uśmiech na twarzy przeciwnika i bez słowa zrobił krok naprzód, dokonując wymachów rękoma.

Trevison był opanowanym bokserem, ostrożnie badającym swego przeciwnika. Odczuwał niewiele emocji poza samoobroną. Na początku bójki przeprosiłby Corrigan – co prawda ze sceptycyzmem. Teraz kierowała nim żądza walki. Złośliwość Corrigan trafiła w jego czuły punkt. Dźwięk uderzenia pięści, mierzenie się sił, naprężenie

¹ Cal (ang. inch) – jednostka długości stosowana w krajach anglosaskich, równa 2,54 cm.

² Uncja (ang. ounce) – pozaukładowa jednostka masy bądź objętości płynów, stosowana m.in. jako jednostka wagi metali szlachetnych, w szerszym zakresie w krajach anglosaskich.

żelaznych mięśni, kontakt ich ciał, ból od zadanych ciosów, obudziły w nim ukrytą bestię. Wciąż był opanowany, było to jednak wyrachowane opanowanie wyszkolonego wojownika i gdy Corrigan naparł na niego, zadał mu rozdzierające ciosy, które odrzuciły głowę wielkiego mężczyzny w tył. Corrigan nie przyłożył zbyt wielkiej wagi do uderzeń; otrząsnął się, charcząc. Krew sączyła mu się wąską strużką z ust; splunął brutalnie Trevisonowi przez ramię w uścisku i próbował zbić przeciwnika z nóg.

Trevisona ocaliła kowbojska zręczność i wywinął się, podzwaniając ostrogami. Corrigan pospieszył za nim. Mocny cios ugodził Trevisona w szyję, zaraz poniżej ucha i posłał go, zataczającego się, na ścianę budynku, od której odbił się jak gumowa piłka, zasypując Corrigan lawiną ogłuszających ciosów z wyprostowanego ramienia. Oczy Corrigan zaszkliły się. Głowa wielkiego mężczyzny podskakiwała, a Trevison podszedł bliżej, zamierzając zakończyć szybko walkę, lecz Corrigan skulił się instynktownie, a kiedy Trevison w swym zapale chybił, wielki mężczyzna chwycił go i trzymał z uporem do momentu, aż jego oszołomiony mózg doszedł do siebie.

Przez kilka minut szamotali się dookoła pokoju, a obcasy ich butów uderzały o gołe deski podłogi, wydając dźwięki, które wydostawały się przez otaczające ich ściany i zakłócały ciszę świata zewnętrznego donośnymi łoskotami. Trevison uderzał bez miłosierdzia w ciężką głowę, która szukała oparcia na jego ramieniu. Corrigan był ogłuszony i nie chciał więcej walki na odległość. Próbował zacisnąć swe olbrzymie ramiona wokół pasa przeciwnika i zacząć zapasy. Rozumiał, że tylko w tego rodzaju walce leży jego jedyna nadzieja na zwycięstwo, lecz Trevison, zręczny, wyczuwający niebezpieczeństwo, wyslizgnął się chwytającym go dłońmi i zaczął ze straszliwą siłą okładać wargi i szczękę oponenta. Żaden z ciosów jednak nie był kończący, dlatego Corrigan trzymał się dalej.

W końcu, chłoszcząc dziko powietrze, wijąc się, wykręcając, kołysząc się, zataczając obszerny krąg, aby wyrwać się z uchwytu Corrigan, Trevison przerwał uścisk i ciężko dysząc, odsunął się, zbierając resztkę sił na finalny cios. Corrigan dostał porządnie za swoje w ciągu

ostatnich kilku minut, ale stopniowo dochodził do siebie po zawrotach głowy i przez zmiążdżone wargi wyszczerzył paskudnie zęby w uśmiechu. Zaszarżował, przywodząc Trevisonowi na myśl rannego niedźwiedzia, lecz Trevison cofnął się przezornie, mierząc odległość, która była mu potrzebna do zadania ostatecznego ciosu.

Wciąż się cofał, zakreślając coraz szerszy krąg. Kołysząc się, dotarł do drzwi, za którymi zniknął Braman – stał plecami do nich. Gdy je mijał, nie zauważył, że otworzyły się nieznacznie. W wąskiej szparze pomiędzy drzwiami a framugą nie dostrzegł twarzy Bramana. Nie widział również, jak bankier podciął mu nogi trzonkiem od miotły, ale to poczuł. Potknął się o niego i stracił równowagę. Padając, zobaczył, jak Corriganowi rozbłyły oczy, i przekręcił się na bok, aby tym samym uchronić się przed silnym ciosem, który próbował zadać mu mężczyzna. Udało się to jedynie częściowo – dostał rykoszetem, trochę na lewo od brody. Ogłuszyło go i upadł niezgrabnie na lewe ramię. Rozdzierający ból przeszywał jego rękę, gdy leżał skulony na ziemi. Domyślał się, że jest złamana w nadgarstku. Ogarnęło go dziwne odrętwienie, w czasie którego nic nie widział, ani nic nie czuł. Jak przez mgłę wydawało mu się, że Corrigan zadaje mu ciosy; odbierał je z niejasną świadomością. Nie czuł jednak bólu i śmiał się z daremnych wysiłków Corrigan. Odczuwał jedynie ślepą furię w stosunku do Bramana, bo był pewien, że to przez bankiera się potknął. Wtem spostrzegł leżącą na podłodze miotłę i szczelinę w drzwiach. W jakiś sposób podniósł się na nogi, uczepiony w niego Corrigan obsypywał go ciosami. Trevison zaczął śmiać się głośno, gdy jego umysł trochę się rozjaśnił i zobaczył usta Corrigan, blade, otwarte, ociekające krwią. Przypomniawszy sobie, że kiedy Braman go przewrócił, Corrigan nie był w stanie zadać jakiegokolwiek skutecznego ciosu.

Chwiejąc się, odsuwał się od Corrigan, drwiąc z niego, choć później nie pamiętał nawet, co mówił. Ponadto słyszał, jak Corrigan go sklął, ale tego też nie mógł sobie potem przypomnieć. Próbował machnąć lewym ramieniem, gdy Corrigan pojawił się w jego zasięgu, ale stwierdził, że nie może go unieść. Uchylił się zatem przed brutalnym ciosem wycelowanym w niego i wyslizgnął się bokiem, zaczyna-



Nie widział również, jak bankier podciął mu nogi trzonkiem od miotły, ale to poczuł.

jąc robić użytek z prawej ręki. Kilka razy, gdy krążyli wokół siebie, zdzielił Corrigan prawym sierpowym, wycofał się, usunął na bok; Corrigan uparcie podążał jego śladem, chłoszcząc go jadownicie, zadając sporadycznie krótkie uderzenia. Corrigan nie mógł go zranić, a on nie mógł przestać śmiać się z wyglądu jego twarzy – była tak ohydnie odrażająca.

We frontowych drzwiach saloonu Hanrahana, leżącego po przeciwnej stronie banku, pojawił się mężczyzna. Postął przez chwilę na ulicy, rozglądając się. Gdyby miss Benham go zobaczyła, rozpoznałaby w nim tego, który wcześniej wyszedł z saloonu i powitał jeźdźca słowami: „Czy to nie stary, dobry Brand!”. Zauważył czarnego jak noc wierzchowca stojącego przed budynkiem banku, ale Trevisona nie było w pobliżu. Mężczyzna wymamrotał:

– Nie chcę, żeby wyjechał bez pożegnania ze mną.

Przeszedł przez ulicę i zajrzał przez okno do wnętrza banku. Zobaczył, jak Braman zerka przez wpół otwarte drzwi prowadzące na zaplecze i usłyszał dziwne odgłosy – odgłosy szarpaniny, od których drżała i dygotała szyba okna, przed którą stał.

Pobieglł do budynku z boku i zajrzał tam przez okno. Stał przez chwilę, przyglądając się całej scenie z wytrzeszczonymi oczami, z na wpół wyciągniętą bronią, ale opanował odruch i zmienił zdanie. Pognął z powrotem do saloonu, z którego się wyłonił, skrzecząc ochryple: „Bójka! Bójka!”.

Trevisonowi nie udało się uniknąć jednego z ciężkich ciosów Corrigan. Dostało mu się prosto w szczękę, kiedy próbował zrobić unik, i porządnie go to oszołomiło. Wciąż jednak uśmiechał się drwiąco do swego wroga, gdy ten posuwał się za nim, sprężony, niecierpliwy, warczący jak zwierzę. Corrigan miał wrażenie, że Trevison uniknął wcześniejszych uderzeń, które mogły zakończyć walkę, przez instynkt, i choć niewiele pozostało mu już siły, atakował prawą pięścią gardę Corrigan i jego twarz, grzmocąc, dopóki nie zostawił na nim suchej nitki.

W sali banku słychać było uniesione, spierające się głosy. Żaden z dwójki mężczyzn szalejących po zapleczu banku ich nie słyszał –

byli jak pozbawieni wszelkich uczuć dzikusy, niepomni ich otoczenia, pijani z wściekłości, z żądną krwi manią, która opanowała ich mózgi.

Trevison zebrał w sobie ostatnią resztkę sił i zadał Corriganowi miażdżący cios w szczękę. Potężny mężczyzna zachwiał się nieprzytomnie w stronę Trevisona, dziko wymachując rękoma. Trevison uchylił się, zadając proste, krótkie ciosy pięścią, które łądowały z plaśnięciem, nie czyniąc większej szkody. Miały na celu jedynie utrzymanie Corrigan w stanie półprzytomności, do którego doprowadziło go ostatnie, potężne uderzenie Trevisona. Ten ostatni cios wyczerpał również siły samego Trevisona; tylko jego duch przetrwał tę pijacką orgię wściekłości i nienawiści. W miarę, jak zgiełk wokół niego narastał – tupot wielu stóp, szuranie nogami; liczne, chrapliwe, spierające się głosy, przekleństwa, okrzyki protestu, groźby, choć ani dźwięk z tego do niego nie dochodził, tak bardzo był skupiony na tłuczeniu swego przeciwnika – przestał wycofywać się, a kiedy Corrigan ruszył w jego kierunku, znieruchomiał i uderzył go prawą pięścią w twarz. Corrigan zaklął i zacharczał, ale dalej pchał się do przodu. Obaj zamachnęli się jednocześnie – prawy cios Trevisona drasnął jedynie szczękę Corrigan; uderzenie Corrigan, pełne i zamasyżyste, zadudniło łądując na lewym uchu Trevisona. Głowa Trevisona odskoczyła, broda opadła mu na piersi, a nogi się pod nim ugięły. Corrigan posłał mu złośliwy uśmiezek i znów zaatakował. Był jednak zbyt niecierpliwy i jego ciosy chybiały zataczający się cel – ze zwieszonymi ze zmęczenia ramionami, ale wciąż na nogach, machinalnie, z drwiącym uśmiechem na ustach, który teraz stał się gorzko pogardliwy. Oznaczał on, że Trevison, choć wyczerpany, ze złamaną ręką, odczuwał jedynie pogardę dla umiejętności Corrigan jako zapaśnika.

Zmagając się ze zmęczeniem, rzucił się znów do przodu, zamachnąwszy się prawym ramieniem, bez czucia, w kierunku rozmażanej plamy przed nim, którą stał się Corrigan. Coś się z nim zderzyło – jakaś ludzka forma – i myśląc, że to Corrigan próbuje iść z nim w zapasy, chwycił ją. Impet obiektu i jego własne zmęczenie, pchnęły go do tyłu, w dół, i z obiektem w uścisku upadł na podłogę, przywalony. Ujrzał pochyloną nad nim twarz – był to Braman – i pamiętając, jak ban-

kier wcześniej podciął mu nogi, zaczął naparzać go prawą pięścią po twarzy.

Wykończyłby go. Nie wiedział, że człowiek, który powitał go, jako „starego, dobrego Branda”, przyłożył bankierowi w czoło kolbą swego pistoletu, gdy ten próbował zablokować wejście. Nie był świadom tego, że siła ciosu odrzuciła Bramana w jego stronę, a półprzytomny bankier się nie bronił. Trevisona nie obchodziłoby to nawet, gdyby był tego świadom, bo walczył na ślepo, zawzięcie, z uporem, brawurowo – walczył z dwoma mężczyznami, tak myślał. A choć czuł, że koniec tej walki może być jeden, dalej walił przed siebie z okrutną zawziętością, a straciwszy kontrolę w swej furii, lekkomyślnie wymachiwał złamaną lewą ręką, uderzając Bramana, jęcząc z bólu przy każdym oddawanym ciosie.

Poczuł, jak pochwyciły go jakieś dłonie. Opierał się im, tłukąc coraz słabiej, widział otaczające go twarze, podczas gdy stawiano go na nogi. Usłyszał głos mówiący: „Ma złamaną rękę”. Ten właśnie głos rozjaśnił mu w głowie. Przystanął, wstrzymując się od zadania kolejnego ciosu. Tańczące mu przed oczami rozmazane twarze nabrały właściwego wyglądu i zobaczył mężczyznę, który przyłożył bankierowi.

– Witaj Mullarky! – uśmiechnął się, zataczając się jak pijany w objęcia swych przyjaciół. – Przyszedłeś na piknik? Gdzie mój...

Ujrzał Corriganę opartego o ścianę pokoju i pochylił się w jego stronę. Kilkanaście rąk przytrzymało go – pomieszczenie było pełne ludzi, a gdy już całkowicie rozjaśniło mu się w głowie, niektórych z nich rozpoznał. Słyszał groźby, mamrotanie przeciwko Corriganowi i śmiał się, prosząc mężczyzn, aby zachowali spokój, że była to „uczciwa walka”. Corriganę nie wzruszały pogroźki ani słowa Trevisona. Opierał się o ścianę, osłabiony, z opuszczonymi ramionami, zmartwioną, pociętą twarzą, z pogardliwym wyrazem twarzy. I wtedy, pomimo protestów, Trevison został odciągnięty przez Mullarky’ego i resztę, pozostawiając Bramana rozciągniętego na podłodze i Corriganę podpierającego ścianę, z uginającymi się kolanami i brodą opadającą mu na pierś. Trevison został zmuszony do wyjścia. Odwrócił się jeszcze w drzwiach i uśmiechnął drwiąco do swego umęczonego wroga. Corrigan splunął w jego stronę.

Pół godziny później, z zabandażowanym ramieniem i usuniętymi niektórymi śladami walki, Trevison znajdował się na sali banku. Zabronił, aby którykolwiek z jego przyjaciół mu towarzyszył, lecz Mullarky i kilku innych stało na zewnątrz, obserwując go.

Braman z zabandażowaną głową, blady i drżący, pochylił się nad kontuarem za drucianą siatką. Na krześle za biurkiem, wlepiając wzrok w Trevisona, siedział Corrigan. Twarz wielkiego mężczyzny była skupiona. Była również przerażająco spuchnięta, a jego zmiażdżone usta wydęte. Trevison uśmiechnął się do niego, przemówił jednak do bankiera.

– Oddawaj moją broń, Braman – rzucił krótko.

Bankier wyjął ją z szuflady i w milczeniu pchnął przez ladę i małe okienko w drucianej siatce. Obserwował z lękiem, jak Trevison wsadził broń do kabury. Corrigan flegmatycznie śledził jego ruchy.

Z bronią w kaburze Trevison pochylił się ku bankierowi.

– Zawsze wiedziałem, że z ciebie jest krętacz, Braman, ale nie będziemy teraz się o to spierać. Chcę tylko, abys wiedział, że kiedy moje ramię się zagoi, wyrównamy sobie rachunki. Kije od mioteł będą owego dnia zabronione.

Braman milczał, niespokojnie obserwując, jak Trevison sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej oprawioną w skórę książeczkę czekową. Wyjął z niej kartkę i rzucił ją przez otwór w drucianej siatce.

– Spienięż to – nakazał. – Dotyczy to sprawy, o której rozmawialiśmy, gdy przeszkodził nam twój żądny krwi przyjaciel.

Spojrzał na Corrigan, podczas gdy Braman egzaminował papier. W jego spojrzeniu pojawił się ten sam zuchwały blask, co podczas walki. Corrigan skrzywił się, a Trevison posłał mu uśmiech – nieustraszony, wymuszony uśmiech impulsywnie walczącego mężczyzny. Corrigan powoli nabrał powietrza w płuca, obserwując go spod na wpół przymkniętych powiek. Jak gdyby oboje wiedzieli, że w niedalekiej przyszłości czeka ich kolejne starcie.

Braman niepewnie dotknął palcem papieru i spojrzał na Corrigan.

– Mam nadzieję, że to jest w porządku? – zapytał. – Powinieneś coś o tym wiedzieć. – To jest czek od spółki kolejowej za prawo do budowy na ziemi pana Trevisona.

Oczy Corrigan zalaśniły, gdy analizował czek. Wypełniał je ostry, złowieszczy blask.

– Nie, nie jest w porządku – wziął czek od Bramana i z premedytacją podarł go na drobne kawałeczki, które rozrzucił po podłodze, u swych stóp. Uśmiechnął się mściwie, siadając z powrotem na swym krześle.

– Brand Trevison, hę? – powiedział. – A zatem, panie Trevison, spółka kolejowa nie jest gotowa do sfinalizowania z panem sprawy.

Trevison przyglądał się zniszczeniu czeku bez mrugnienia okiem. Delikatny, ironiczny uśmiech błąkał się w kącikach jego ust, gdy Corrigan już skończył.

– Rozumiem – rzekł cicho. – Nie miałeś dość siły, aby pokonać mnie wcześniej, nawet z pomocą miotły Bramana. Masz zamiar mścić się na mnie przy użyciu kolei żelaznej; masz zamiar donosić i knuć. Jesteś w doborowym towarzystwie, wszystko, czego nie wiesz o złupieniu ludziom skóry, podpowie ci Braman. I powiem ci jedno: propozycja spółki kolejowej dotyczącej mojej ziemi wygasła wczoraj i nie będzie odnowiona. Prosisz się o tę wojnę. Zrobię, co w mojej mocy, żeby dać ci satysfakcję.

Corrigan mruknął coś i dla zabicia czasu bębnił palcami po blacie stołu, ze spokojem przyglądając się Trevisonowi. Ten otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zmienił zdanie i wyszedł. Corrigan i Braman obserwowali go, jak zatrzymał się na chwilę na zewnątrz, aby porozmawiać z przyjaciółmi. Patrzyli, jak dosiadł swego wierzchowca i wyjechał z miasta. Wówczas bankier spojrzął na Corrigan i zmarszczył brwi.

– Znasz się na swoim interesie, Jeff – powiedział – ale wybrałeś sobie trudnego przeciwnika.

Corrigan nie odpowiedział. Przyglądał się skrawkom czeku leżącego na podłodze u jego stóp.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!